

mała pracę u miejscowej Kazaszki. Mama i Pani Somiakowa miały mniej szczęścia, bo dostały pracę w jakiejś fabryce- szwalni. Nasze mamy wyglądały tak marnie, że wzbudzały litość. Ktoś podarował im w darze serca jakiegoś podniszczzone ubrania, kto inny walonki, bo nogi miały powijane w worki.

Pracowały tam przez miesiąc. Po miesiącu Pani Somiakowa wróciła do kołchozu, bo trafił jej się transport, którym mogła w kilka godzin dotrzeć do nas. Mama została. Musiała jeszcze pracować, aby zapewnić sobie przeżycie i przywieźć coś swoim dzieciom. Niektóre rzeczy przekazała nam przez Panią Somiakową, z którą była zżyta jak z siostrą. Ta przywiozła ze sobą trochę jedzenia i postarała się o przeprowadzkę ze szkoły do kolejnej opuszczonej ziemianki, w której było znacznie cieplej. Wróciła też do pracy w oborze, gdzie podkładała otręby, zmarzniałe ziemniaki, a czasem i pomyje dla nas i swoich dzieci.

Gdy praca mamy się skończyła i nie mogła znaleźć innego zajęcia zrozpaczona poszła do miejskiej komendy milicji i szlochając opowiedziała całą historię komendantowi. Był to Tatar, który obiecał, że po Nowym Roku postara się o przeniesienie nas z tego kołchozu. Pomógł też mamie znaleźć samochód, który będzie jechał w kierunku naszego kołchozu, dzięki czemu 24 grudnia 1940 roku mama wróciła do nas. Kierowca był tak uprzejmy, że musiała podejść jedynie kilka metrów, co miało ogromne znaczenie przy tej pogodzie. Niestety mam wysiadła na stepie nie opodal naszego kołchozu a zaspę równały się z naszymi ziemiankami, więc nie mogła widzieć naszego miejsca zamieszkania. Z trudem odnalazła ziemiankę przy szkole, w której mieszkał Tatar. Ten z hukiem wyrzucił mamę ze swojego domu i zamknął za mamą drzwi. Za nią wybiegła jego żona i natarła mamie twarz śniegiem. Dopiero po chwili wróciły do izby, a uśmiechnięty Tatar podał mamie miseczkę wrzątku do wy-

picia. Zrozumiała reakcję mężczyzny. Mama miała odmrożoną twarz i w przebywanie w ciepłe mogła skończyć się tragicznie. Nie mógł tego na szybko wytłumaczyć, więc dla dobra mamy po prostu wyrzucił ją z ziemianki na dwór. Kompresy śniegowe były jedynym ratunkiem dla mamy. Dzisiaj też należy pamiętać o tym, by smarować tłustym kremem twarz przed wyjściem na mróz. Wiedza tego prymitywnego, w naszym mniemaniu, ludu okazała się zbawienna, bo skutki odmrożenia twarzy mamy mogły być tragiczne i nieodwracalne.

Tatar próbował wytłumaczyć, gdzie mieszkamy i dlaczego przeniosłyśmy się do ziemianki. Nasza ziemianka stała pusta, bo Kazach z rodziną opuścili kołchoz w poszukiwaniu lepszego życia. Czego nie wykradli ludzie to rozszarpały wilki. Powiedział jej, że jesteście całe i przebywamy w ziemiance traktorzysty. Tam ja bawiłam dziecko przez dwa miesiące, dzięki czemu zarabiałam na jedną „lepioszkę” dziennie (placek wielkości dłoni). Drugi kradłam dla siostr, co chyba nie umknęło uwadze żonie traktorzysty, bo zawsze podsuwała mi jeden większy placek, żebyśmy podzieliła się z siostrami. Mimo wszystko ciągle chodziliśmy głodni, bo jeden placek dzieliliśmy na siedem kęsów. Kto nie przeżył takie głodu, nie wie co to znaczy dzielić się z bliźnimi wszystkim co ma. Nauczyłam się dzielić jako mała dziewczynka, wówczas ośmioletnia, a dzisiaj mimo upływu kilkudziesięciu lat nawyk dzielenia się pozostał.

*Dzieci te dzieliły losy dorosłych. Na podstawie szkiców Ambasadę Polskiej w ZSRR w końcu 1941 r. a więc już w czasie wojny niemiecko-sowieckiej mogło przebywać w głębi ZSRR 132 tys. dzieci i młodzieży polskiej do lat 18.**

* E. Treła-Mazur, Dzieci polskie deportowane w czasie II Wojny Światowej na wschód, [w:] „Zesłaniec”, 2011, s. 5-6

MAMA DOTARŁA DO NAS GŁĘBOKIMI KORYTARZAMI W ŚNIEGU. Niosła ze sobą zdobywcę: chleb i baranie łby. Znalazła nas żywe, to znaczy oddychające, bo z głodu byliśmy już tak osłabione, że nie mogliśmy prawie mówić. Ratowała nas na wszystkie znane sposoby: zalewała nas wrzątkiem i klejem z mąki aż wreszcie doszliśmy do siebie. Zastała w izbie dwie nieruchome kobiety siedzące w rogu oraz siedmioro dzieci, opuchniętych i bezwładnych, wodzących jedynie oczami po pomieszczeniu. Cudem uratowała tych dziewięć istot. Uważała, że Bóg dziewięćciokrotnie narodził się naszej ziemi.

Tak przebiegło pierwsze Boże Narodzenie na zesłaniu, w 1940 roku w kołchozie Akszi. Było to też święto zmartwychwstania kilku osób, które mimo skrajnego wykończenia nie były jeszcze potrzebne po tamtej stronie. Trzeciego dnia mogliśmy już jeść gotowaną kaszę jęczmienną. Pani Somiakowa opowiedziała mamie, że jej jedzenia nie starczyło na długo, a od pięciu dni w ogóle nie było nic do jedzenia. Przez jakiś czas kradła pomyje od świń dla nas od jedzenia, ale w końcu ją na tym przyłapali i wyrzucili z obory. Ostatniego dnia nie było nikogo wystarczająco silnego nawet do zagotowania śniegu. Wtedy zjawiała się mama i nas uratowała. Gdy nabieraliśmy sił nadszedł rok 1941. Mama dowiedziała się ile wysiłku wymagało od Pani Somiakowej utrzymanie nas przy życiu. Druga Pani niestety była trochę leniwa i zachowywała się jak duże, niezaradne dziecko.

Pierwszego dnia nowego roku mama opowiadała nam, że w komendzie obiecano zabrać nas z kołchozu, ale kiedy to może się wydarzyć - nie wiadomo.

Tymczasem nam dokuczał nie tylko głód, ale także wilki, które stanowią bardzo duże zagrożenie dla ludzi. Wilki robiły straszne spustoszenie w oborach, a Kazachowie nie mieli nawet strzelby, żeby się bronić.

Przed świętem Trzech Króli przyjechał milicjant z komendy i kazał nam się przygotować do drogi. Uprzedzał, że jeżeli nie znajdziemy koni, to wołami będziemy dwa dni jechać. Na drugi dzień milicjant znalazł w sąsiednim kolchozie, około 6 kilometrów na wschód od nas, woźnicę, sanie i dwa woły. Była godzina dziesiąta, gdy woźnica dotarł do naszej ziemianki. Postanowiono, że tego samego dnia wyruszamy. Woźnica miał na sobie watawane spodnie, kufajkę, walonki i długi kożuch oraz futrzaną czapkę. Na saniach było trochę słomy i ułożono pierzyny, toboły i nas wtulono w te bety, a na koniec szczerlinie poprzykrywano. Tak nasza karawana ruszyła w drogę, znów do Semipalatyńska. Kobiety były przyodziane łącznie. W płaszczkach, starych, zdobycznych walonkach i chustach. Kazach kazała mamom poprzykrywać kapami i kocami, żeby było im ciepłej. Te trzy wychudzone kobiety miały iść za saniami trasę ponad 50 kilometrów, mimo że kilka dni wcześniej ledwo uszły z życiem.

Wyruszyliśmy w pogodny, ale bardzo mroźny dzień. Było ponad 40 stopni poniżej zera. Teren był odsłonięty, nie było drzew - tylko step i step. Gdy zerwał się wiatr po południu bezlitośnie smagał kobiety i pierzyny na saniach. Co parę kilometrów woźnica pozwalał kobietom stawać na płozach i jak było trochę z górki to przysiąść na saniach. Bez picia i jedzenia mijiał pierwszy dzień podróży, ale trasy ubyłoby bardzo mało. Z uwagi na zimno postanowiono iść dalej, bo nawet nie było z czego rozpalic ognia, a poblizu nie było żadnej osady. Od czasu do czasu robiono tylko odpoczynek, by wołom dać siano. Wtedy nasze mamy odpoczywały, grzały ręce pod pierzynami, sprawdzały jak się czujemy. Następnego dnia było trochę ciepłej i zaczęła padać śnieg. Mieliśmy do pokonania jeszcze 15 kilometrów i była nadzieja, że do wieczora dotrzemy do pierwszej przystani. Na horyzoncie ktoś dostrzegł światełko i woźnica krzyknął „Koniec! Koniec!”.

Światła oznaczały, że zbliżamy się do rogatki miasta. Po paru minutach sanie zjechały w dół, było bardzo ślisko. Migające światła oddalały się od konwoju, pozostawały gdzieś z boku. Mama powiedziała woźnicy, że droga nie bardzo jej się podoba, i że chyba nie jedziemy dobrze. Kach tylko machnął ręką i jechał dalej. Po chwili usłyszeliśmy wołanie milicjanta, który kazał natychmiast zawracać. Woźnica zawrócił i po pół godziny znaleźliśmy się w bazie transportowej, w tak zwanym zajeździe. Weszliśmy do obszernej komnaty, na podłodze siedziało sporo ludzi a w izbie było ciepło i panował straszny zaduch. W następnym pomieszczeniu stał żelazny piecyk, a na nim gar z wrzątkiem. Wszyscy dostaliśmy po kubkach po kubku z gorącą wodą, dzięki której mogliśmy się zagrzać. Była to pierwsza ciepła rzecz od dwóch dni. Do rana drzemaliśmy w kacie w kuckach. Następnego dnia mogliśmy wyruszyć w dalszą drogę. Rano milicjant zabrał Panią Somiakową i mamę na dwór i zaprowadził na brzeg rzeki. Pokazał im ślady sań, które przez prawie 50 metrów prowadziły w poprzek rzeki, która w tym miejscu zamarznięta, wkrótce była bardzo rwąca. O włos wszyscy byliśmy od tragedii. Znowu opatrność nad nami czuwała i we właściwym momencie zesłała milicjanta, który nas zawrócił z drogi prosto w odmęt lodowatej rzeki. Mamie puściły nerwy, padła na kolana i zaczęła modlić się, dziękując Bogu za ocalenie. Dziękowały milicjantowi, dalej się modliły a całą historię powtórzone później w zajeździe.

W południe przyjechała po nas ciężarówka, załadowano nasz majątek a milicjant wsiadł do szoferki i odjechaliśmy. Woźnica wrócił do kołchozu z kilkoma pasażerami. Przejechalśmy Ostiedle Żenasekiej, potem tory i przez całą miasto Semipałatyńsk. Było to miasto wojewódzkie, z niską zabudową, typowo azjatycką. W centrum miasta, przez które przejeżdżaliśmy, uliczki były wąskie, ale było też widać kilka większych budynków. Minęliśmy znaną nam osadę Zatoń i dwa kilometry dalej do-

jechaliśmy do osady Kożkombinat. Jak wskazuje nazwa- był to kombinat skórzany, gdzie wyprawiano i garbowano skóry. Była też szwalnia. Osada była spora, a fabryka zatrudniała wielu ludzi. Mieszkało tu wielu Polaków, niektórzy zakwaterowani w barakach, inni koczowali w pobliskiej, opuszczonej hali fabrycznej. Było w niej około pięćdziesięciu rodzin. Nam kazano znaleźć kąt dla siebie i znieść swoje bety.

Po środku hali stał żelazny piecyk, a na nim gorąca woda. Wodę pito ze śniegu, bo studnia była zamarznięta. Hala stała się naszym domem na około pięć miesięcy. W tym czasie nasze mamy znalazły zatrudnienie przy wyrębie drzewa w lesie oraz kopaniu rowów. Po skończonej pracy można było nazbierać trochę suchego chrusztu i przyciągnąć po śniegu do miejsca zakwaterowania. Dzięki temu było już czym rozpalic ogień i ugotować jakąś strawę. W tym okresie mama wysprzedała wszystko co nam pozostało, żeby jakoś przetrwać do cieplejszych dni.

Miesiące mijały szybko, a słońce coraz wyżej wznosiło się na niebie. Kończył się marzec. W hali dochodziło do drobnych kradzieży - niektórzy leniwi podkradali drewno na opał albo starali się ukraść jakiś przedmiot. Było to obrzydliwe, bo w kolchozie nauczyliśmy się wszystkim dzielić i wspólnie pilnować swego, a tu byli tacy co nie zważali na cudzą własność i okradali swoich. W tym zbiorowisku panowało jedynie prawo silniejszego, przemoc i cwaniactwo, bo tak dyktował los i chęć przetrwania.

W kolchozie nasze cztery rodziny stanowiły jedną wspólną, dzieliłymi się wszystkim co udało się zdobyć do jedzenia.

W pracy Pani Somiakowa i mama trzymały się razem, a Pani Orzechowska pilnowała dzieci. Pani Somiakowa pochodziła ze wsi i uczyła mamę pracy w polu i innych czynności, które w mieście nie były znane, jak na

przykład pranie w ługu, uzyskiwanym z popiołu. Znały się już ponad rok, połączyła je niedola i solidarność, a w tym środowisku musiały walczyć o wszystko. Walczyły o kolejkę do zagotowania wody a nawet gdy dawały swoim dzieciom kawałek zapracowanego chleba stały nad swoimi dziećmi, by starsi nie zabrali im jedzenia od ust. Bywało tak, że starsze dzieci wrywały chleb młodszym - taki panował głód.

Podłoga w hali fabrycznej była betonowa i na tym betonie rozłożyliśmy swoje bety na trzech metrach kwadratowych. To miejsce było naszym mieszkaniem - tu spaliśmy, jedliśmy i siedzieliśmy. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy na dworze, ponieważ nie było wychodka. W hali mieszkowało wiele rodzin z jednym lub kilkorgiem dzieci.

W lutym i marcu kobiety pracowały przy wyrębie lasu oddalonego od Koźkombinatu o cztery kilometry. Był to las sosnowy.



Mały Leszek z babcią Felą i chrzestnym Mieczysławem Tobiańskim

KTO NIE RABOTAJET, TOT NIE KUSZAJET

Osoby pracujące dostawały talony na 20 dkg chleba, a dzieci na 10 dkg. Mama otrzymywała pół kilo chleba, ciężkiego jak glina, na nas czwororo. Chleb trzeba było wykupić w sklepie, w którym sprzedawano także suszone ryby i zamrożone ziemniaki, ale nie stać nas było na takie specjały. Po prostu nie mieliśmy pieniędzy.

Do wybuchu wojny z Niemcami i Rosją mama pisała do Śniatynia, skąd dostała dwie paczki. Jedną paczkę dostała w kołchozie, drugą tu. W jednej paczce była rybnica, trochę mąki. W drugiej miały być buty taty dla mamy, ale były tylko porwane papiery. W czasie wojny z Niemcami i Rosją nie można było pisać do Polski.

Nadeszło lato 1941 roku, było to już drugie lato na Syberii. Mama powtarzała, że przeżyliśmy dzięki pomocy Bożej. Przeżyliśmy pierwszą sybirską zimą, kompletnie nie byliśmy do niej przygotowani przygotowane. Nie dość, że było bardzo zimno, no i głodno, nasze łachmany nie były wystarczające na takie mrozy. Większą część zimy małe dzieci przesiedziały w betach.

W maju zrobiło się już bardzo ciepło, po srożej zimie nie było już nawet śladu. W naszej osadzie była bardzo duża fabryka. Do fabryki - kombinatu prowadziła utwardzoną drogą, a za drogą płynęła rzeka Irtysz. Rzeka była bardzo duża i szeroka. Z drugiej strony fabryki pasem ciągnęła się niewielka równina, która była przecinana małymi strumykami, które wypływały z gór i wpadały do Irtysza. To nie były wysokie góry, a raczej podgórze. W odległości około 1 metra, może i więcej, wypływały małe źródelka, które wpadały do strumyków, a potem do Irtysza. Ze źródełek tych pobieraliśmy wodę do picia. Wzgórza były porośnięte lasami sosnowymi. W naszej osadzie rosło kilka drzew liściastych. Były to duże drzewa, a w pobliżu strumyków rosła nawet trawa.

W kołchozie, jak i w Świnobazie nie było drzew. Kilka rosło w Zatomiu, to była osada położona między Świnobazą i Kożkombinatem. Była to osada, jakby gmina, w której znajdowała się szkoła, apteka, poczta i bazar. W naszej wsi Rosjanki miały po krowie, innych zwierząt domowych nie było. Nie pamiętam również ptaków. U nas były dwa psy, kotów też nie pamiętam.

Jak małe dzieci biegaliśmy po osadzie, ponieważ już nas nie pilnowano, można było swobodnie się poruszać. Pamiętam, iż w osadzie był jeden piętrowy dom i dwa większe budynki murowane, w których mieściły się biura fabryki, stołówka oraz przedszkole dla dzieci pracowników kombinatu. W kombinacie wszystkie budynki I i hale fabryczne były murowane. Pozostałe budynki były drewniane i niskie. Każde mieszkanie składało się z sieni i dwóch izb. Przy końcu osady mieściła się woskownia i straż fabryczna, która spełniała rolę miejscowej milicji. W oddali, w kierunku Zatomia, stał duży budynek parterowy, w którym była Bania, czyli zbiorowa łaźnia. W bani w pierwszej izbie stały ławki i szafka na odzież, a w drugiej sali, która była bardzo duża, stały drewniane ławki i blaszane miednice, a w ścianach były krany z gorącą i zimną wodą. Wodę nabierało się z kranów a siedząc na ławach można się było umyć. Z tej sali wychodziło się do małej sauny, gdzie miejscowi bili się miotłami z liści i polewali wodą.

Początkowo korzystanie z tej łaźni było dla Polek dość krępujące, ponieważ można było tam wejść jedynie nago, a chłopcy dla 10 lat wchodzili z matkami. Starsi chłopcy wchodzili do łaźni z mężczyznami innego dnia. Za kąpiel trzeba było płacić i to też było dla nas przeszkodą. Raz w miesiącu jednak korzystaliśmy z gruntownej kąpeli. Czas zrobił swoje, wstąpił i coraz częściej w okresie jesieni i zimy korzystało się z bani. Latem kąpaliśmy się w rzece.

W drugim roku pobytu nagość towarzyszyła nam coraz częściej. Spaliśmy nago, bo łachy trzeba było szanować, żeby ubrać je w dzień. W osadzie nie było drogi ani chodników, były tylko udeptane ścieżki, a droga utwardzona była za fabryką, koło rzeki. Pod koniec maja rozlokowano nas po barakach. Mamy mówiły, że Rosjanie opróżniają hale fabryczne, które będą pełniły funkcje magazynów na sprzęt i maszyny, które wymagały zabezpieczenia przed nadchodzącym frontem. Część Polek dostała pracę w Kożkombinacie, ponieważ Rosjanie poszli na front, a rodziny wywozili do pobliskich miejscowości. Specjalnością Rosjan było przerzucanie ludzi z miejsca na miejsce. Tak przerzucali swoich jak i nas. Bali się, żeby ludzie nigdzie za długo nie mieszkali. Gdy nas przeniesiono do baru mieszkalnego z rodziną rosyjską - Szurkin z żoną i córką. Ich synowie byli w armii. W drugim mieszkaniu baru mieszkało aż pięć rodzin: pięć kobiet, jeden bardzo stary mężczyzna oraz dziewięcioro dzieci. W pierwszej izbie mieściły się trzy rodziny: my, Pani Postorowa z dorosłą córką i synem oraz Pani Walkowiakowa z synem, też już dość dużym. Rodziny liczniejsze dostawały po dwie przycze, a na dwie osoby dawano tylko jedną przyczę. Między naszą przyczą a miejscem Pani Postorowej było przejście o szerokości około 80 centymetrów. Prycza Pani Walkowiakowej stykała się z naszą i mogliśmy się ciągnąć za włosy.

Przez naszą izbę do następnej przechodziły dwie rodziny: Pani Somiakowa z trójką dzieci oraz Pani Kociuszkowa z mężem. Oboje byli starsi, ale mąż Pani Kociuszkowej był dużo od niej starszy. Pani Kociuszkowa w 1946 roku wróciła do Polski i zamieszkała we Wrocławiu, jej mąż zmarł i pozostał w Semipałatyńsku. Pan Kociuszko był stary i ciągle były z nim spory i waśnie. Nie był dobrym człowiekiem. Z kochochy zamieszkała z nami jedynie Pani Somiakowa. Pani Olaninowa zamieszkała w Żenasemiu, bliżej Semipałatyńska, od strony południowej.

My byliśmy przeciwnej stronie miasta, około 8 kilometrów drogi. Niewiele dzielił nas od siebie Pania Orzechowska, nigdy się już nie spotkaliśmy. Tylko mama i Pani Somiakowa od czasu do czasu wspominały różne zabawne historie, jakie ona wymyślała przez swoją bezradność i lenistwo. Pani Somiakowa i moja mama należały do kobiet pracowitych i zaradnych, potrafiły dbać o swoje dzieci, a z czasem nauczyły się także cwaniactwa. W Koźkombinacie mieszkało kilka rodzin z naszego miasteczka. Mama spotkała Panią Podgóorską z dziećmi, Panią Dudczakowską z dorosłym synem, którą nazywałam „ciocią”. Pani Ciocia była dla mamy bardzo dobra, znały się już w Śniatynie. W kilku pobliskich osadach nasze mamy spotkały jeszcze inne rodziny ze Śniatynia: Panią Plebanową z synem Mietkiem w moim wieku, Panią Michalewicz z sześciolatnią wnuczką Rysią i Pana Filipowicza z dwiema dorosłymi córkami i synem. Pan Filipowicz był szewcem i zarabiał w zawodzie na swe utrzymanie, dzięki któremu prowadził życie bogatsze niż nasze.

W ciągu lata chodziłyśmy ze starszą siostrą do lasu po szyszki i chrust, żeby było czym palić, no i zebrać trochę opału na zimę. Pod naszą pryzą była piwnica, gdzie składałyśmy szyszki na zimę. Wodę do gotowania i picia przynosiłyśmy ze źródła odległego o około 1,5 kilometra od baraków. Pożyczałyśmy wiadra i koromysło i w nich nosiłyśmy wodę. Siostra przynosiła prawie pełne wiadro, była o trzy lata starsza ode mnie, a ja nabierałam tylko pół wiadra. Do mycia i przepierki nosiłyśmy wodę ze strumyka, który przepływał niedaleko naszego baraku. Nad brzegiem strumyka co jakiś czas była kładka.

Tak zapamiętałam naszą osadę, w której przeżyłyśmy prawie pięć lat. Gdy Sowietów zabrali do wojska na ich miejsce w fabryce zatrudniano Polki. Mama też dostała pracę w fabryce. Do mrozów kobiety pracowały

na budowie nosząc na plecach cegły na piętra, chodząc po drewnianych trapach. Z chwilą nastania mrozów przemieszczano kobiety do różnych prac w halach. Mama początkowo dostała się do szwalni. Szyto tam kożuchy dla żołnierzy. Do swoich butów mama wkładała sierść, którą później przędłyśmy i dziergałyśmy z niej odzież. Ze szwalni można było też ukraść szpulkę nici i tak powstawały nasze majtki, bluzki itp. Pani Somiakowa pokazała nam jak gręplować sierść i potem ją prażyć. Wrzeczona strugałyśmy z patyków, ale mimo wszystko udawało nam się jako tako prażyć. Dzięki temu ubierałyśmy się w swetry, skarpety, spódnice, czapki, rękawice. Nie wszyscy byli pomyslowi i sprytni, ale zaradniejsi dawali sobie jakoś radę. Sąsiad Szurkin zrobił nam druty i tak mogliśmy dziergać. Rosjanki i Kazaszki też przędały, ale one miały prawdziwe wrzeczona.

Były to lata strasznej głodu, ale Polki ciągle coś wymyślały. Do garbowania kradły tran, mimo że Rosjanie dodawali do tranu dziegiel, ale i to nie odstraszyło naszych mam. Zazwyczaj starały się kraść tran przed skażeniem. Cały problem tkwił w tym, żeby dobrze go ukryć i przemieść przez strażnicę.

Drugim produktem w naszym jadłospisie była mizdra, namiastka mięsa, czyli resztki ze skór baranich oraz ze zwierząt, które się topiło i można było zjeść. Było to straszne świństwo, ale można było tym zaspokoić głód. Strażnicy za tę mizdrę nie krzyczeli, ale nie można było kaleczyć skór. W czasie przerwy dwudziestominutowej można było odzyskać około dwóch garści mizdry. Amatorów na ten specjal było wielu. Za pracę przez miesiąc mama mogła wykupić chleb i raz na tydzień litr jęczmienia, z którego trzeba było zrobić kaszę, czyli oczyścić z łusek i zemleć, ale za uzyskanie żarna gospodarz brał trochę kaszy.

Tak w ogólnym zarysie przedstawiała się nasza vegetacja, choć przelały się różne zdarzenia mniej lub bardziej istotne. Wszystkie składały się na naszą szarą, semipaletyńską rzeczywistość.

Gdy mama pracowała w szwalni udawało jej się ukraść trochę białych nici, z których zrobiliśmy trzy bluzki. Jedną z nich udało nam się dość długo przechowywać jako pamiątkę. Kobiety kradły też ścinki skór i szyły z tego kubraki, kożuchy, które chroniły je od zimna.

Jesienią 1942 roku kazano oddać wszystkie małe dzieci do przedszkola. Zabroniono nam mówić po polsku, dzieci do lat 12-stu musiały obowiązkowo chodzić do rosyjskiej szkoły. Szkoła była z Zatomiu, więc musieliśmy chodzić codziennie 4 km w jedną stronę. W szkole książki były wspólne, a zeszyty dostawaliśmy. Pamiętam, że szkoła była nawet ładna, a klasy duże. W porównaniu z dziećmi ruskimi i Kazachami, my byliśmy ubrani w łachmany. One, od czasu do czasu, dostawały coś do jedzenia, my zaś patrzyliśmy przetykając ślinę. W rodzinach, w których wszyscy pracowali było im lżej, a tym rodzinom, które miały małe dzieci było bardzo ciężko. Tak było w naszym przypadku. Wojna rosyjsko-niemiecka przyniosła złudne nadzieje, że może to przyniesie nam wolność. Tak się nie stało. Warunki naszego pobytu bardzo się pogorszyły, oraz częściej odbierano nam chleb, który przeznaczano na potrzeby wojska. Zimą na przełomie 1941/ 42 roku było ciężko, ale zima 1942/43 było była okropnie zimna. Zdawało się, że warunki bytowe były lepsze, bo w barakach było trochę cieplej, ale małe okienko i zaduch w izbie nie pozwalały na częste wietrzenie, bo łatwo można się było zaziębić. Jesienią i zimą wszyscy po pracy przebywali w baraku, każdy chciał coś ugotować, zagrzać wodę lub kaszę, czasem stopić mizdrę, co dawało okropny swąd.





Teofila Nizio

Dzieci, jak wszyscy zeszłańcy, cierpiaty nędzę i głód. Nękały je choroby, nierozpoznane i nie leczone- brak było lekarzy i lekarstw. Słabsze dzieci umierały, organizmy najsilniejsze przeżyły. Choroby, głód, praca ponad siły, okropne warunki sanitarne dziesiątkowały zeszłańców. Chleb był na kartki [...].

*Łuszcz, cukier były to produkty nieznanne. Te niespotykane, ciężkie warunki życia powodowały nadumieralność ludzi.**

JESIENIĄ 1942 ROKU MOJA SIOSTRA BASIA ZACHOROWAŁA NA ZAPALENIE PŁUC. Mała była bardzo słaba i chorowała od października do stycznia. Gorączka nie ustępowała, a siostrzyczka była kilka dni nieprzytomna. Wszyscy modliliśmy się o jej wyzdrowienie. Ktoś przyniósł białe prześcieradło i uszyto ręcznie koszulkę na jej śmierć. Znajoma mamy przyniosła małą buteleczkę wody, mówiła, że to cudowna woda z Lourdes. Kazała mamie, aby zwilżyła dziecku usta i natarła serduszko. Resztę cudownej wody mama oddała Pani. Znajoma powiedziała, że jeżeli to nie pomoże, to już nie ma dla Basi ratunku. Na drugi dzień siostrzyczka otworzyła oczy, były błędne, ale dawały nadzieję na jej wyzdrowienie. Żeby zbić gorączkę poradzono mamie, żeby zrobiła siostrze zimny okład. Mama zrobiła Basi kompres, a w tym czasie Pani Pasterowa topiła mizdrę, przez co bardzo nadymiła w izbie. Otworzyła drzwi na oścież i zaczęła wietrzyć. Mama błagała ją, żeby zamknęła drzwi, ale ta jej nie posłuchała. Od tej chwili mama przestała się do niej odzywać, odwrócili się od niej też inni mieszkańcy. Na Boże Narodzenie siostra już trochę próbowała siadać. Zrobiłam dla niej prezent – do ściany nad pryczą przybiłam gałązkę sosny, która była naszą choinką, a pod nią, na pryczy, położyłam starego używanego misia. Była to druga

* | Tańska, Dzieci na zesłaniu, [w:] „Zesłaniec”, 2011, s. 12